Rok I. Nr. 11
1 Listopada 1913 r.

HUMANISTA POLSKI

miesięcznik

Redaktor i Wydawca Aleksander Świętochowski

UKOCHANIE NARODU.

Czas obecny, ciągnący się od lat kilku, nie jest dla naszego społeczeństwa prostem przedłużeniem poprzedniości, lecz okresem wielkiej odmiany, która wywrze głęboki wpływ na przyszłość i do której pamięcią nieraz wracać będziemy. Chociaż rozszerzenie zakresu swobód obywatelskich przez manifest październikowy odbiło się pewnemi, zresztą bardzo drobnemi, korzyściami również w naszem życiu, nie sam ten akt miał dla nas pierwszorzędną wagę, ale jego skutki: dzięki jemu odsłonił się wyraźniej zasób naszych sił wewnętrznych i nasze stosunki zewnętrzne. Do tej chwili poruszaliśmy się w mroku wielu złudzeń: mniemaliśmy, że rozporządzamy ogromnym zapasem stłumionej energii, która oczekuje tylko nieco wolniejszego ujścia, ażeby się wyładować imponującymi czynami oraz że naród rosyjski, dopuszczony do władzy i głosu, zmieni zupełnie kierunek polityki obcoplemienno-kresowej i zajmie wobec nas stanowisko przyjazne. Oba te mniemania okazały się płonnemi urojeniami. Niewątpliwie zdobyliśmy się na szereg przedsięwięć pozytywnych i zajęliśmy rozwiązane ręce poważną pracą, ale to, czego dokonaliśmy i co zamierzyliśmy, jeszcze daleko nie dosięga ani naszych nierównych potrzeb, ani lotnych marzeń. Ostatecznie plon ośmioletnich upraw i siewów jest zbiorem wielkiego ubóstwa, a dowiódł on nie naszej przyrodzonej nieudolności i lenistwa, lecz zaniku lub wyczerpania sił aż do bezwładu w długiem skrępowaniu i bezczynności.

Co zaś do warunków zewnętrznych naszego życia, wyleczyły one nas gruntownie ze złudzeń: przedstawiciele narodu rosyjskiego—bez różnicy stronnictw i przekonań—okazali nam zawziętą nieprzyjaźń, a nawet nienawiść—tak solidarną, że dziś nie ma w Dumie ani jednej partyi, która by nam okazywała sympatyę a nawet sprawiedliwość. Nawet grupy opozycyjne, które są tworami zupełnie odmiennego rodzaju, niemogącymi nas zrozumieć, występują przeciwko nam wrogo.

Strasznem, wprost niewiarogodnem rozczarowaniem była zdradziecka, bezczelna i wyzywająca postawa żydów, którzy zorganizowali się w grupy antipolskie, stworzyli prasę oszczerczą i napastniczą, a znalazłszy się w przewadze podczas wyborów, narzucili społeczeństwu polskiemu swoją brutalną wolę. Ten ruch był tak silny, że porwał swym prądem nawet zasymilowanych, t. z. żydo-polaków, którzy nosząc w duszy nieuświadomione rozdwojenie „powrócili do swej pierwszej miłości" i ujawnili więcej troski o żydostwo, niż o polskość. Z wyjątkiem cienkiej warstewki rzeczywistych polaków pochodzenia semickiego, którzy wcielili się w nasz naród całem życiem, wszystkiemi uczuciami i myślami, olbrzymia reszta oświeconych i ciemnych żydów stoi dziś w wyraźnem do niego przeciwieństwie i działa na jego szkodę. A jest ich przeszło 1 ½ miliona. Polska przechodziła straszne koleje i miała momenty bardzo tragiczne. Położenie obecne należy do najcięższych. Ono bowiem przekonało nas dowodnie, że na żadne cudze sympatye i pomoc, na nic obcego zewnątrz i wewnątrz nas w najmniejszej mierze liczyć nie możemy. Rozpoczął się dla nas okres bezwzględnej samopomocy i kilkofrontowej walki. Ażeby naród mógł dzwigać tak wielkie i przygniatające brzemię swego losu, musi być ciągle krzepiony i napełniany otuchą. Postępowe i radykalne żywioły polskie okazywały zawsze swemu społeczeństwu wielką surowość: odsłaniały jego wady, karciły błędy, nie przebaczały żadnego grzechu. Było to potrzebne i w wielu kierunkach dało pożądane wyniki. Ale w obecnem położeniu takie postępowanie byłoby zbyt wielkiem i szkodliwem okrucieństwem. Nie zrzekając się sprawiedliwej krytyki, nie zakrywając ułomności, nie przemalowywując złego na dobre, powinniśmy osłabiać gniew miłością, nie chłostać brutalnie słabego narodu, dotykać jego ran miękiemi i delikatnemi rękami, stale i szczerze miłować go, podnosić, umacniać, zachęcać, być dla niego raczej litościwym samarytaninem, niż nieubłaganym sędzią, bo jest to dziś najnieszczęśliwsza gromada ludzka w świecie. Nie uszanowano ani jej 20 milionowej liczby, ani dziesięciowiekowej kultury, ani geniuszu, ani zasług, ani praw i pragnień życia, ani bólów, ani ofiar, wszystko to tak podeptano i znieważono, że dziś lada pismak śmie nam urągać i bezcześcić zarówno nasze dostojeństwo, jak nasze cierpienie. Tę krzywdę, tę tragedyę, tę dumę, tę wiarę, w ciężko wywalczaną przyszłość powinniśmy nieprzerwanie mieć przed oczami i nie karcić, nie uczyć, nie napominać narodu inaczej, tylko z ukochaniem. To ukochanie będzie dla niego dźwignią, osłoną i źródłem siły.

Dwa prądy.

Dwa równoległe prądy naszej opinii publicznej, które zaznaczyliśmy dawniej, nabierają coraz większego natężenia i przeciwieństwa pod wpływem ważnych spraw bieżących. Jak wiadomo, jeden z nich, oportunistyczno-ugodowy, reprezentowany przez realistów i zupełnie utożsamionych z nimi narodowo-demokratów, twierdzi, że należy wszystko bez oporu przyjąć, co raczy dać siła, której złamać nie można i, zapomniawszy o nieziszczalnych pragnieniach, zużytkowywać cierpliwie i pokornie każdą korzyść; drugi zasadniczo-opozycyjny, reprezentowany przez żywioły postępowe i demokratyczne, wymaga odrzucania mizernych jałmużn i ustępstw, raczej wyrzeczenia się drobnych korzyści, niż słusznej zasady. Oba te kierunki opinii przełamują się obecnie na dwu pierwszorzędnych kwestyach: uchwalaniu i zakładaniu przez gminy wiejskie szkół elementarnych z przewagą wykładów rosyjskich oraz na samorządzie miejskim według poprawki Rady Państwa, usuwającej z obrad język polski. Ugodowcy dowodzą, że lepsza jest szkoła rosyjska lub półrosyjska i takiż samorząd, niż żadne, opozycyoniści utrzymują przeciwnie, że mniej szkody wyrządzi zupełny brak tych instytucyi, niż działanie wynaturzonych.

Nie można zaprzeczyć przysłowiowemu „rydzowi“, że on przedstawia większą wartość, aniżeli „nic“, ale w obecnych wypadkach rozstrzygającą może być tylko różnica wagi zysków i strat. Otóż te ostatnie nabierają szczególnego znaczenia i doniosłości przez to, że przyjęcie owego „rydza“ przesądza na długo, jeśli nie na zawsze, spór nieugiętej siły ze skrzywdzoną słabością. Odtąd znikają „kwestye“, jako ostatecznie załatwione i społeczeństwo godzi się z redukcyą swojego życia. Jeżeli zaś po argumenty sięgniemy do praktyki, to łatwo przekonamy się, że oportunizm, wygrywając na razie korzyści drobne, przegrywał w końcu wielkie, natomiast wytrwała obrona zasad dawała zawsze, chociaż później, zwycięstwa doniosłe. Czy Irlandczycy otrzymaliby *home-rule*, czy rusini w Galicyi zdobyliby tyle praw, czy centrowcy w Prusach złamaliby ustawy majowe, gdyby zeszli ze swego nieprzejednanego stanowiska? Podobno Koło Polskie w Dumie zamierza skurczyć swe żądania w sprawie samorządu aż do żebraczej skromności i nie zaprotestować przeciwko uchwale Rady Państwa, czyli poprzestać na mniejszym zakresie praw społeczeństwa polskiego, niż mu przyznał w swym projekcie rząd rosyjski: przyzwyczailiśmy się do wielkiej potulności naszego ogółu, ale chyba w tym wypadku odpowiedziałby on zgrozą swym przedstawicielom parlamentarnym. Polacy, niedosięgający swemi wymaganiami dla własnego narodu poziomu biurokracyi rosyjskiej — byliby zjawiskiem wprost potwornem.

POLITYKA.

Naturalnie mocarstwa stroją w dalszym ciągu swe instrumenty dla odgrywania koncertu europejskiego, w którym każdy głos nie zgadza się z innymi, wojna bałkańska trwa dalej. Serbia wojuje z Albanią Turcya gotuje się do wystąpienia przeciw Grecyi. Wszystko to daje sposobność dyplomatom do powtórzenia poraz tysiączny starych, wytartych oslizłych frazesów: „niebo jest ciągle zachmurzone“, „położenie nie przestaje być poważnem“, „nie stracono jeszcze nadziei pokojowego załatwienia sprawy“ i t. p. Zaiste, można się dziwić czytelnikom gazet, że jeszcze przywiązują jakąkolwiek wagę do tych komunałów.

W Austryi, która jest klasycznym krajem szpiegostwa i splątanych intryg politycznych, wykryto nową zdradę w Towarzystwie „Canadian Pacific“, które jakoby w porozumieniu z sąsiedniem mocarstwem ułatwiało emigracyę młodzieży męskiej w wieku popisowym, ażeby zmniejszyć liczbę rekrutów. Dzięki temu tajemnemu handlowi odpłynęło podobno za Atlantyk około 200,000 młodzieńców. Wygląda to na bajkę, a ma być prawdą.

Duma rosyjska rozpoczęła swoje czynności z tą samą apatyą, z jaką je przerwała. Październikowcy, stanowiący w niej większość, przez usta swego wodza, Guczkowa grozili atakiem na rząd; ale zdaje się, że ci bohaterowie nigdy nie doniosą odwagi do sali obrad pałacu Taurydzkiego i zawsze ją po drodze zgubią.

Po drodze.

Proces Bejlisa, jako zdarzenie wszechświatowe. Porównanie dwu omyłek sądowych. Małopolacy w Wielkopolsce. Do czego służy ojczyzna i inne podobne wyrazy. Nemezys. Bezpieczeństwo na naszych kolejach żelaznych.

Ponieważ kraj nasz jest głównem siedliskiem żydów całego świata, więc nic dziwnego, że sprawa o mord rytualny niejakiego Bej-

lisa w Kijowie zajęła tak wielkie miejsce w naszej prasie i opinii ogółu, jak gdyby powstała na Nalewkach lub w Górze Kalwaryi. Przecie tu chodzi o naszego — że tak powiem — spółrodaka, czy spółziomka i o honor naszego spółwyznania, obarczonego ciężkim zarzutem. Wiadomo, że żydzi, pomimo organicznego włączania się w społeczeństwa, śród których żyją, zachowują najściślejszą solidarność całego swego plemienia i krzywda jednego z nich na półkuli północnej, oburza i do odwetu pobudza nie tylko innych żydów z tej półkuli, ale również wszystkich z południowej. Nadto są oni przekonani, że kwestya żydowska jest najważniejszą śród zagadnień wszechświata. Stanowiąc przeszło 14 część naszego społeczeństwa i oddziaływając na jego przekonania, narzucili mu ten swój pogląd i swoje nastroje, tak że my również zajmujemy się procesem Bejlisa daleko więcej, niż byśmy się zajmowali procesem jakiegoś polaka, oskarżonego o to, że tajemnie zatruwał studnie w Cesarstwie, ażeby wytępić wszystkich rosyan. Lud wybrany zawsze chce wcisnąć się i często wciska się na plan pierwszy obrazu życia.

Co do samej bejlisady, to chociaż uważam za zupełnie możliwe najpotworniejsze zwyrodnienie fanatyzmu religijnego i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby odkryto sektę, zjadającą dla przypodobania się swemu bogu czarninę z krwi ludzkiej, to jednak nie wyobrażam sobie, ażeby w XX w. można było uwięzić człowieka, trzymać go w zamknięciu przez 26 miesięcy i chcieć mu dowieść ohydnej zbrodni na wątlejszej podstawie dowodowej. Tam niema nawet pozorów i poszlak ze strony podsądnego, tam jest tylko wysiłek ze strony prokuratury. To też cokolwiek orzekną przysięgli, którzy mogą podzielić ten wysiłek lub też go odeprzeć, obrońcy bez trudu zburzą domek z kart tendencyjnie malowanych i układanych, a sama sprawa przejdzie do wspomnień, o których historya sprawiedliwości będzie chciała zapomnieć a będzie musiała pamiętać. Takie procesy są śladami odchodzącej w przeszłość niskiej kultury.

Nie można brać za złe żydom, że uruchomili najznakomitsze siły adwokackie dla obrony skromnego pisarza cegielni, który jest dla nich symbolem krzywdzących posądzeń całego plemienia; ale warto zrobić wymowne porównanie tej ofiary omyłki sądowej z inną świeżo ujawnioną. Na pomoc Bejlisowi pośpieszyło tysiące dzienników, ogromne sumy, niezmordowana agitacya, wiekie środki, wielkie gromady ludzkie, wielka ich siła i wielki krzyk; tymczasem gdy na ciężkie roboty skazany został Knobelsdorf, którego oskarżono fałszywie o zbezczeszczenie obrazu w opuszczonej cerkiewce podczas polowania na lisa, zaledwie jeden dziennikarz w Warszawie daremnie usiłował dowieść jego niewinności i nadać jego krzywdzie rozgłos, pomimo że — jak obecnie stwierdzono — ani Knobelsdorf nie był katolikiem, ani nie polował na lisa, ani żadnego obrazu nie znieważył i został amnestyjnie od wszelkiej kary uwolniony. Przypominam sobie również, w takiem to opuszczeniu znaleźli się niegdyś, posadzeni na ławie podsądnych, broniący swego kościoła krożanie: zaledwie w ostatniej chwili dzięki szlachetnej hojności znanego z tej cnoty obywatelskiej J. N. wynajęto im adwokata w Warszawie. Zaznaczyć przytem należy, że w obu wypadkach czynne współczucie okazali nieszczęśliwym polacy pochodzenia... żydowskiego.

Dotąd nie rozstrzygnięto, czy cesarz niemiecki powiedział do burmistrza ślązkiego, że powinien „tęgo walić chołotę“—polaków. Nie jest to zresztą wcale potrzebne. Bo chociaż jedna z gazet warszawskich zapewniła, że depesza o tem brutalstwie ukorowanego „reisendera“ wydała się jej „więcej, niż nieprawdopodobną, wprost niemożliwą“, nikt nie wątpi, że Wilhelm II szczerze by pragnął takiego walenia i że to nic a nic nie przeszkodziłoby pewnemu gatunkowi małych polaków z Wielkopolski upadać mu do nóg. Od początku istnienia wszelakich majestatów wszędzie i zawsze znajdowali się dumni panowie, którzy im pozwolili się deptać. Więc to nas nie dziwi. Ale co nas zdumiewa, to szczególna pretensya owych skopanych podnóżków, ażebyśmy ich za to szanowali a nawet im współczuli. Wprawdzie od wieków przyzwyczailiśmy się do widoku najrozmaitszych nicponiów, którzy licząc na magnetyczny wpływ wyrazu „ojczyzna“, upiększali wciąż swe ohydne czyny i rozbrajali gniew ogółu, ale dziś już nie poddajemy się takiej suggestyi. Daremnie więc jakiś uczestnik obiadu dworskiego lub sprzedawczyk ziemi polskiej dla komisyi kolonizacyjnej zapewnia nas, że zrobił to „dla dobra ojczyzny“, już nas to nie oślepia. Przestaliśmy być naiwni i gdy ktoś zdradza lub kradnie z okrzykiem: „niech żyje Polska!“, nie bijemy mu oklasku, lecz bie-

rzemy go za kark i stawiamy pod pręgierzem. Nie pomaga również żądanie swobody dla „samodzielnego sposoby myślenia“, którego broni p. A. Chłapowski lub usprawiedliwianie się „dramatem wewnętrznym w duszy“ przy napełnianiu obiadem dworskim żołądka: „mściciel-rewolucyonista“ a krócej mówiąc—bandyta tłomaczy się także „samodzielnym sposobem myślenia“ i „dramatem wewnętrznym“.

Gdyby mnie spytano, z jakiej choroby trzebaby naprzód wyleczyć społeczeństwo nasze, odrzekłbym: z frazesu. Być może, iż mieliśmy zawsze do niej skłonność, ale rozwinęła się ona głównie w epoce niewoli, kiedy nam zabraniano wymawiać pewnych słów, wyrażających najgłębsze uczucia. Stąd wzięły swoją magiczną moc wyrazy: ojczyzna, naród, Polska itd. Wiedzą o tem doskonale wszyscy szalbierze. To też gdy jedni zlatują się do kuchni królewskiej w imię ojczyzny, drudzy rabują i zabijają w imię proletaryatu. Junaka z tej ostatniej kategoryi wyłowiono świeżo z bagna zbrodni w Krakowie. Kiedy podczas ruchawki rewolucyjnej u nas bojowcy socyalistyczni zaczęli urządzać t. z. „ekspropryacye“, czyli grabieże pieniędzy na pocztach i w bankach, połączone z mordowaniem ludzi niewinnych, A. Świętochowski pierwszy a długo jedyny nie tylko piętnował taką walkę, ale przepowiadał, że ona wyrodzi się w zwyczajny bandytyzm. Chociaż to tak bardzo oburzyło wodzów rozboju, że dotąd nie mogą uspokoić swego wymyślającego gniewu, wróżba spełniła się z okropną dokładnością. Przed paru tygodniami właśnie wynurzył się znowu jeden z takich bohaterów, uczestnik napadu i rabunku pod Rogowem, jako zabójca księgarza Świszczowskiego w Krakowie. On także miał pełne usta „ludu“ i „proletaryatu“. Nie jest to wypadek pierwszy i nie ostatni, wobec którego twórcy tej wstrętnej pirateryi zasłaniają się argumentem, że rewolucya nie przebiera swych wykonawców i nie zna moralności. Jest to fałsz. Nawet rewolucya musi mieć jakąś moralność, jakieś powściągi, jakieś zasady i skrupuły, inaczej staje się dzikiem rozbestwieniem.

Żadnej etyki nie znają zarządy dróg żelaznych w Królestwie Polskiem, a zwłaszcza W. Wiedeńskiej. Nie wiadomo, co jest ryzykowniejsze: czy podróż tą koleją, czy aeroplanem. Ciągle się rozbijają pociągi, lokomotywy stają w drodze, hamulce odmawiają posłuszeństwa itd. Wszystko to zaś jest skutkiem oszczędności, za pomocą której dyrektorowie chcą się odznaczyć i wznieść o stopień wyżej w karyerze. Jest to również wynik błędnej polityki ekonomicznej, która uważa koleje żelazne za jedno z głównych źródeł napełniania skarbu państwa. Taka polityka prowadzi niechybnie do sknerstwa, wyzysku i zmniejszania środków bezpieczeństwa. Twórcy i obrońcy tego systemu powinni jednak pamiętać, że po tych zaniedbanych i zrujnowanych drogach jeżdżą nie tylko zwyczajni śmiertelnicy, których życie można lekceważyć, lecz że w tem samem położeniu mogą się znaleźć osoby, których niebezpieczeństwo nie pomoże do karyery. [1])

H. D.

Lud wiejski w Warszawie.

Przed paru tygodniami zwiedzali Warszawę wychowańcy i wychowanki dwu szkół włościańskich, którzy w jaskrawy sposób oświetlili nam zupełny brak urządzeń dla pobytu takich gości i wogóle ludu wiejskiego. Przybywający do naszego miasta magnat, bogacz, kupiec, przemysłowiec, obywatel ziemski, urzędnik, wreszcie złodziej, włóczęga — znajdzie łatwo dogodne i bezpieczne pomieszczenie, ale chłop musi długo szukać przytułku. Bo gdzie się podzieje? Hotel dla niego za drogi, tanich zajazdów i gospód niema. Wspomniane dwie gromadki młodzieży wiejskiej bez szczególnych starań i zabiegów musiałyby nocować na ulicy. Dla siedmdziesięciu paru osób obu płci trzeba co najmniej tyleż sienników, dwu sal, kilku miednic i dzbanków — gdzie to wszystko zdobyć za taką cenę, żeby nocleg nie kosztował więcej, niż 8-10 kop? W dzień odbywa się zwiedzanie różnych instytucyj i zakładów, a wieczorem? Teatr! Wszystkie za drogie i we wszystkich grane są utwory nieodpowiednie: tu „Wąsy i peruka“, tam „Asekuracya małżeńska“, tam „Cnotliwa Zuzanna“ itp. Nawet w t. z. ludowym — „Marya Stuart“. Słowem, chłop,

---

[1]) W tej chwili osobne dodatki gazet ogłaszają straszną wiadomość, że niedaleko warszawskiego dworca kolei Nadwiślańskiej skutkiem zderzenia się dwóch pociągów 42 osoby zostały ciężko zranione a 7 zabitych. Tu już niedbalstwo urządziło prawdziwy szlachtuz ludzki. I czy „system“ będzie długo jeszcze sprawiał nam takie rzezię?

przybywający do Warszawy, ażeby w niej kilka dni przebyć, ażeby ją poznać lub zabawić się, nie ma ani dostępnego dla siebie noclegu, ani posiłku, ani żadnej rozrywki.

Wobec tego przedsięwzięciem ogromnej ważności jest podjęty przez Zaranie zamiar zebrania funduszów na budowę Domu Ludowego w Warszawie. Z innej strony—zdaje się po to tylko, ażeby jadącemu kij wsadzić w koło — zalecono budowę Gospody ludowej. Niech to się nazywa jakkolwiek i niech to będzie czemkolwiek, aby tylko zapewniało naszemu włościaństwu przyzwoity a tani pobyt, nocleg, jedzenie i — jeśli można — rozrywkę. Jesteśmy przekonani, że taki zakład, oddając wielkie usługi swym gościom, pokrywałby zupełnie dochodem wydatki. Niestety, kościoły jeszcze ciągle zabierają nam liczną część zapisów i ofiar dobroczynnych, trzeba jednak dzwonić głośno i ciągle na ten cel, a z pewnością znajdą się kiegdyś hojne ręce, które pomogą do urzeczywistnienia go.

Tow. Szkoły Ludowej i Macierz Śląska.

Rok ubiegły zaważył ciężko na losach instytucyj dobra społecznego w zaborze austryackim. Przesilenie ekonomiczne, wywołane wypadkami na półwyspie bałkańskim, następnie straszne powodzie i wszelakie klęski żywiołowe zniszczyły kraj, postawiły go w stanie głodu i nędzy ostatecznej, zmuszając całą ofiarność społeczeństwa polskiego do zwrócenia się w tym kierunku z pominięciem innych potrzeb i dążeń.

Przedewszystkiem odczuła to boleśnie Macierz Cieszyńska, najstarsza w tej dzielnicy polskiej instytucya oświatowa. Rozpaczliwym komunikatem zawiadamia ona o zupełnem swem bankructwie i konieczności zwinięcia wszystkich zakładów tym razem już nieodwołalnie. Niedobór dosięgnął w roku bieżącym 60,000 koron. Nie jest to suma tak olbrzymia, ażeby jej w zwykłych warunkach pokryć się nie dało. Ale Macierz zachwiana jest w swej ufności w pomoc ogółu, od szeregu lat bowiem dochód jej stale się zmniejsza, a coroczne deficyty wykazują słabnięcie uwagi na jej potrzeby, wychładzanie się serca, dotąd sprawom jej oddanych.

Szkoły Macierzy są prawdziwemi placówkami polskości, które tysiące dzieci ludu śląskiego ocaliły od wynarodowienia, a dla budzącej się myśli i uczucia narodowego były żywiącemi ogniskami, daleko rozsiewającemi swe promienie. Wiedzą dobrze o tem niemcy oraz czesi i nie szczędzą milionów, ażeby złamać, zniweczyć pracę polską na kresach. Śląsk Cieszyński i zachodnie powiaty Galicyi zostaną też bardzo poważnie zagrożone z zamknięciem Macierzy. Boć je dotąd bronią przed zalewem najezdczym tylko wysiłki samego społeczeństwa, administracya państwowa stoi po stronie jego wrogów, o czem zaświadczy najlepiej rezolucya uchwalona przez gminę w Białej na podanie, wniesione przez Tow. Sz. lud. o zapomogę dla utrzymywanej przez nie szkoły im. T. Kościuszki:

> „Polacy, którzy narodowościowe wychowanie młodzieży przyjęli za pierwszy punkt swojego programu, nie chcą nic wiedzieć o takiemże dążeniu niemców w ich kraju, lecz sprzeciwiają się im wszelką siłą i wszelkimi środkami. Rada gminna nie ma zatem powodu wspierać polskiego Tow. Szkoły Ludowej, wobec czego upraszamy o przyjęcie naszej rezolucyi do wiadomości i odrzucenie podania tegoż Towarzystwa.

Tymi, którzy obecnie najochotniej i najliczniej składają swe wdowie grosze na potrzeby Macierzy są robotnicy i drobni rolnicy sląscy. Większość ofiar pochodzi dziś od nich, ale lud ten jest biedny, więc pomoc jego wystarczyć nie może.

Co się z nim stanie, gdy pozbawiony będzie uświadamiającej i kształcącej opieki Towarzystwa, a znajdzie się sam wobec niemców i czechów niecierpliwie oczekujących na tę chwilę?

Jeśli teraz utracimy Śląsk Cieszyński, nie odzyskamy go już nigdy, jak niepowrotnie przepadły dla Słowiańszczyny ziemię nadłabskie i nadbaltyckie, jak powoli, ale nieodwołalnie zamiera narodowość polska na Górnym Śląsku. Szkoła i książka niemiecka, a najbardziej może ta ostatnia, spokojnie i wytrwale dokonywają podboju dusz polskich. Czy my posiadamy siłę równoznaczną tym ciosom, godzącym w pierś naszą?

Rozległą, zdumiewającą, jak na nasze warunki, jest działalność Tow. Szkoły Ludowej, a jednak i ono nie może zawładnąć myślą i sercem społeczeństwa. Robi wiele, ale o ileż więcej mogłoby i powinno zrobić, gdyby istniało w narodzie rzeczywiste zrozumienie ważno-

ści dokonywanej przez nie pracy, gdyby było więcej sumienia, poczuwającego się do obowiązku wzięcia udziału w tej pracy.

Znaczną część dochodów Towarzystwa pochłania budowanie i utrzymywanie szkół, dla których latami całemi nie daje się uzyskać etatu państwowego z winy władz zarówno krajowych jak centralnych.

Taką jest 3-klasowa szkoła wydziałowa w Czechowiczach na Śląsku, wzniesiona kosztem 90,000 koron przez Koło Uniwersyteckie w Krakowie i z jego funduszów utrzymywana; taką też szkoła w Maryańskich Górach na Morawach, która stanęła w r. 1912 staraniem Koła I T. S. L. w Krakowie i pochłonęła wraz z budynkiem i placem z górą 115,000 kor. Władze miejscowe, znajdujące się w rękach czechów, nie chcą słyszeć o udzieleniu zapomogi szkole polskiej, której utrzymanie długo jeszcze zapewne ciężyć będzie na budżecie Tow. Szkoły Ludowej. A gmach jej powstał w znacznej mierze z centowych składek, zbieranych do dwóch puszek, obnoszonych po Krakowie przez dwóch osiwiałych weteranów z 1863 r.

Jeśli można przewidzieć w niedalekiej nawet przyszłości taką chwilę, że w Galicyi nie będzie dziecka w wieku szkolnym, któreby nie chodziło do szkoły i gminy, któraby nie miała szkoły, to przedewszystkiem będzie zasługą Tow. S. L. Ono to, ponad możność swoją bardzo często, jest głównym pionierem oświaty ludowej, podejmując zadanie, które gdzieindziej państwo spełnia. Z jego bytem jest dziś związane istnienie całej rzeszy nauczycielstwa polskiego, a na kresach zarówno zachodnich jak wschodnich, los pracy, zapobiegającej wynarodowieniu dzieci polskich. Jego oko obejmuje wszystkie dziedziny działalności oświatowej, tylko ręka czynu dla braku środków nie wszędzie sięgnąć może. Skutkiem tego bardzo naprzykład zaniedbany jest wydział oświaty po za szkolnej. W ostatniem sprawozdaniu Towarzystwa spotykamy się z bolesną skargą, że tak ważne sprawy, jak: rozwijanie czytelnictwa, krzewienie nauki zawodowej, mnożenie domów ludowych, popularyzowanie krajoznawstwa i t. p. nie doznają należytego poparcia. Kursów nauki przemysłowo-uzupełniającej, handlowej i zawodowej prowadzi Towarzystwo 48. W tym dziale powstały w roku ubiegłym Kursa samarytańskie pielęgnowania rannych w czasie wojny.

Ilość samych dzieci, pobierających naukę we wszystkich zakładach Tow. S. L. dosięgła w roku zeszłym liczby 26,900.

Ta cyfra jest wystarczającem zaświadczeniem o rozmiarach prowadzonej przez nie pracy.

Rocznica ks. Józefa.

Z nadzwyczajną świetnością odbył się obchód jej w Krakowie, przy bardzo licznym udziale włościaństwa z całego kraju. Przedstawiciele wszystkich stanów ze wszystkich trzech zaborów przyszli złożyć hołd prochom bohatera.

Sto lat temu w ponury i dżdżysty dzień jesienny oddał życie za honor narodu; w blasku oślepiającego słońca październikowego składano cześć jego pamięci.

Uroczystość rozpoczęto mszą polową na Błoniach, skąd następnie wyruszył ogromny pochód na Wawel, prowadzony przez wspaniałą, konną banderyę krakusów z mistrzem ceremonii w ułańskim mundurze ks. Józefa na przedzie. Za nimi rozwinął się olbrzymi, różnobarwny wąż: szli sokoli, młodzież szkolna, straże pożarne, konne oddziały Sokoła w szarych mundurach i kaszkietach, dzieci ludowych szkół miejskich i podkrakowskich, przeszło tysiączny zastęp skautów w szarych lub zielonych mundurkach, z podgiętymi zuchowato kapeluszami formy burskiej, z długimi w rękach kijami, lasem sterczącymi po nad głowami. Twarzyczki czerstwe i ogorzałe, oczy błyszczące, z młodzieńczych postaci tryskało życie zdrowe, bujne, rwące się do lotu. Szli zwarci, karni, opanowani. To pierwszy ich występ publiczny przed oczami całego narodu. Za nimi dopiero postępowali gimnastycy z Królestwa oraz sokoli z Wielkopolski i Śląska, niosąc srebrne wieńce z napisami. W przejściu nad nimi rozbrzmiał śpiew, posypały się kwiaty. A za tymi górale i góralki z Podhala w barwnych świtkach z ciupagami w dłoniach, i mur sukman chłopskich z całej Polski z wieńcami ze zbóż i kwiatów; dalej przedstawiciele najpoważniejszych instytucyj krajowych, uniwersytetów, rad miejskich, Towarzystw rolniczych w otoczeniu chorągwi cechowych i bractw krakowskich. Jak żywy łańcuch pochód opasał całe miasto. Ci, co stali u wylotu ulicy Wol-

skiej, mogli widzieć ostatnie jego szeregi i czoło, wstępujące już na Wawel.

Tu, z uderzeniem godz. 1-ej, gdy ostatnie zastępy schodziły z góry, zadzwonił Zygmunt.

Sto lat temu o tej samej godzinie zimne nurty wzburzonej rzeki zamknęły się nad ciałem ostatniego wodza, ostatniego, niepodległego wojska polskiego. Dziś u trumny jego, w głębokiej czci i miłości, z kornem czołem i bijącemi sercami, stanęli wszyscy. Z najdalszych krańców ziemi polskiej biegły tu uczucia i myśli w zgodnej harmonii podniosłych pragnień, szlachetnych zamierzeń, mocnych postanowień, niewypowiedzianych, niezniszczonych nadziei i smutnych rozmyślań.

Cóżeśmy to uczynili z wielką puścizną, jaką nam zostawił? Z odmętów czasu czyśmy wynieśli niepokalane palladium narodowe — honor polaków? Czy mamy prawo z czystem sumieniem, z jasnem czołem powiedzieć u tego grobu: Oto, Wodzu, skarb nasz najdroższy, za który życie dałeś, przynosimy Ci w czci i świętości nienaruszony. Ani wichry, ani burze, ni śnieżne zamiecie, ni ognie piorunów, bijących w drzewo naszego życia, nie zdołały zniszczyć lub splugawić jego blasku. Nędzni, z wszystkiego yzuci, nim żyjemy jeszcze i jego mocą się bronimy.

Strasznem jest milczenie umarłych, straszniejsze niż przekleństwo żywych. W niem się tai majestat nieubłaganego sądu i wyroku nieodwołalnego potępienia.

On nie chciał żyć, widząc rozbicie ostatnich dla narodu nadziei, i tylko rozpacznie pragnął umrzeć śmiercią walecznych po wielu latach mężnego życia w zupełnem zapomnieniu o sobie, w najgorętszem oddaniu się ojczyznie. Dzień za dniem, rok za rokiem stawiał on czoło wściekłości losu i nie zachwiał się, nie ugiął, nie spodlił, nie upadł w błoto zaprzedania i poniżenia—miał więc prawo wziąć sobie tę najwyższą nagrodę szlachetnego człowieka: piękną śmierć.

Ale i w tej najcięższej, ostatniej swojej godzinie znalazł się sam—nikt z Polaków nie pośpieszył na jego ratunek. Rodacy, towarzysze, śród których zapewne niejeden zawdzięczał mu wiele, bezradnie patrzyli z brzegu jak zabierała go woda i niosła w śmierć. Cudzoziemiec, francuz, kapitan Bléchamp, dwukrotnie skoczył za nim do rzeki i, podtrzymując tonącego, zginął wraz z nim. I ten miał też śmierć piękną.

Naszym udziałem co innego być miało — my mieliśmy żyć pięknie. Wszystko, co przeszło, mogło i powinno było nas tego nauczyć. Zły kruszec losów minionych mieliśmy przekuć na szlachetny metal przyszłych przeznaczeń.

Niech nie widzi książę Józef, jakeśmy się wywiązali z tego zadania: roztrwoniona połowa ojcowizny i w obce, wrogie zaprzedana ręce; z dobrej sławy polskiego imienia wiatr strzępy roznosi po świecie; strach i niedołęstwo trzyma wszystko w swej mocy. Śmierć walecznych nawet we śnie nie marzy się nikomu i niema podłości, której dla zachowania najmarniejszego żywota nie bylibyśmy zdolni popełnić.

Nad grobami przeszłości uwijamy się jak widma, strojąc się w blaski od nich odbite, lecz świateł życia nie umiemy zapalać. Dawno rozniecone ogniska zaledwie tleją, a my urządzamy korowody coraz wspanialsze i, upajając się komedyą istnienia, sami zsuwamy się w przepaść.

Kiedyż nareszcie otrzeźwiejemy i zbudzimy się do świadomości naszego obowiązku i naszych przeznaczeń? Kiedy skończą się te lata błądzeń w pustce bezmyślności, martwoty i upodlenia?

Innych ludzi nam trzeba: serc wiernych i mężnych, dusz podniosłych i prawych, charakterów stalowych na nowy siew dla lepszej przyszłości.

P. S.

Z literatury.

Kornel Makuszyński: Awantury arabskie.

A więc niestrudzony, choć już tak bardzo wiekowy żeglarz Sindbad wybrał się z łaski p. Makuszyńskiego w ósmą podróż po świecie. Wiedział on z góry, jak niesłychane przygody oczekiwały go w drodze i że przyjdzie mu oglądać wiele niezwykłych i niepospolitych rzeczy, przeto zawczasu kazał nabić tłustych baranów i nagotować ryżu, ażeby miał czem za powrotem znęcić ciekawych nietyle jego opowieści, co smacznego jadła przyjaciół. Przytem jedno przy drugiem łatwiej przechodzą przez uszy i przez żołądek takie stare, łykowate, zjełczałe i wszelkiego aromatu świe-

żości pozbawione a wieczną mądrością nabrzmiałe prawdy: że tylko martwa kobieta może być wierną, a i takiej trzeba twarz zasłonić, gdyż nawet po śmierci nie można być jej pewnym.

Nic więcej i tym razem z wyprawy swojej śmiały żeglarz nie przywiózł, gdyż doświadczenia z wszelkiem innem stworzeniem przyrodzonem i nadprzyrodzonem nie zostawiły śladu na jego duszy, którą jako mąż prawy, na Koranie wykarmiony, oddał istocie bezdusznej. Ale taką właśnie uczcić i ukochać należy, gdyż daje najpewniejsze rękojmie. Tego uczą święte i odwieczne księgi i tak mądremu człowiekowi wierzyć przystoi.

Nie uczył się od Sindbada rozumu ten głupiec Hassan, który się powiesił z powodu zdrady wszystkich pięciu żon swoich; tembardziej że żadna z nich nie wiedziała dlaczego tak zrobiła, choć jedna tylko miała sens wyznać to szczerze, nawiasem trzeba przyznać po otrzymaniu dobrej ilości plag. Hassan miał przecież doskonałe wyjście ze swego cokolwiek ambarasującego położenia: należało niewierne żony odprawić, a na ich miejsce wziąć inne. Miał niewątpliwie w czem wybierać, bo żona to najtańszy, najpośledniejszy towar na targu ludzkim, żona własna, broń Boże cudza. Ta zawsze drożej kosztuje, ale też jest smaczniejsza; o tem wiedzą, od czasu jak świat stoi, wszyscy cudzołożnicy i cudzołożnice. Smaczną jest zawsze jagoda z cudzego zagonka; nie owa, którą spożywać można w spokoju i statecznie, ta prędko spowszednieje i znudzi, ale tamta, którą trzeba brać chyłkiem, skradając się po złodziejsku, ze strachem w sercu i nigdy nieschodzącem z ust kłamstwem — ho ho! to zupełnie co innego.

Tu jest pieprz i zaprawa niepośledniej a nęcącej wartości, ponęta, której oprzeć się nie można.

Biednego Hassana stropiło głównie przerażenie tego idyoty Abdul Mosheda, który umiał tylko osła swego wyrozumieć, jeśli się tak przestraszył swojem odkryciem. Dlaczegóż to pięciu kobietom miał wystarczyć jeden mężczyzna, kiedy żadnemu mężczyźnie nie wystarcza jedna kobieta?

Ale jest to już zagadka, jedna z tych łatwych, jak jajko kolumbowe, dotąd jednak nierozwiązana. Bo zdania są podzielone i ostatecznie na żadne z przedstawionych strony zgodzić się nie chcą. Możnaby coprawda odwołać się w tej sprawie do sądu polubownego, lecz i tu nastręcza się trudność niepokonana: nie wiadomo skąd brać sędziów a nadewszystko arbitra, gdyż wszyscy są oskarżonymi lub conajmniej świadkami.

Możeby jeszcze jako tako sprawiedliwie rozstrzygnął tę zawiłość mądry Harun al Raszyd, gdyby tak pospiesznie i bez zastanowienia nie był postąpił sobie z wynalazkiem swego przyjaciela Atrosa, któremu zniszczył z takim trudem i zaparciem się przygotowany napój wiecznego życia.

Wynalazek nie był coprawda jeszcze opatentowany, więc bez obawy skandalicznego procesu mógł z nim uczynić, co chciał. Gdyby był jednak dał sobie chwilę rozmysłu, tak lekkomyślnie nie pozbawiłby ludzkości jej najwyższej nagrody lub kary.

Byłby nam zachował na wieczną pociechę i ukojenie choćby tego staruszka, który miał słodki uśmiech dziecka a mądrość wiecznego, niezgłębionego życia. Przysłał go władca indyjski kalifowi, ażeby mu uleczył chorą duszę a on go uczył:

„Ból ukryj głęboko w piersi, a twarz pomaluj uśmiechem; mniej będziesz cierpiał i mniej cię będą bili".

„Szanuj nienawiść swoją i noś ją na dnie serca, nie na ustach, abyś jej nie wykrzyczał i nie wyśpiewał zbyt prędko".

„Myślisz, że cię nauczę sztuki uśmiechu, największej ze sztuk na ziemi, której Prorok nie znał, albowiem nie widział dzieła swego w doskonałości. To ci tylko powiem: trzeba żyć na świecie sto lat i wić się w bólu, jak robak wije się na ogniu, zanim jednego dnia powiesz sobie: zrozumiałem! I wtedy się uśmiechniesz, a uśmiech z twarzy twojej nigdy już nie zejdzie".

„Jeśli chcesz uleczyć duszę, rzuć wszystko i nikomu nic nie mówiąc, kij wziąwszy w rękę, wyjdź o poranku na pustynię. Zaś na pustyni szukaj długo, długo i wypatruj oczy, usiadłszy na szlaku wędrowców, którędy chodzi trąd i ospa, rozpacz i nędza, głód i pragnienie, szukaj myślą wielkiej przyczyny. Czyń tak przez wiele dni, aż poczujesz, że wszystko na ziemi jest małe i wszystko przemija, że wszystko ma kres i granicę, i że wszystkie twoje sprawy mniej są warte, niżeli nawóz wielbłądzi, którym można rozpalić ognisko; wielki będzie ból twojego serca, zanim się oderwiesz od tego, coś tak bardzo umiłował i zanim zrozumiesz, że głupstwem jest wszystko wobec wielkiej taje-

mnicy, przed której wspomnieniem ucieka człowiek gnuśny, zły i głupi. Kiedy zaś zrozumiesz, że jesteś pył i mniej znaczysz, niż westchnienie, poczujesz, że serce ci się ścisnęło w nagłym bólu i tak już w nim zakrzepło, a wtedy ujrzysz nicość, nicość i nicość. Wtedy się uśmiechniesz, a twój uśmiech będzie bardzo rozumny i wszystko ci wyłoży roztropnie; nie będziesz nikogo nienawidził, a wszystkiem pogardzisz"...

Kiedy mędrcowi temu ucięto głowę, ze źrenic jego popłynęły krwawe łzy i nazwano go fałszywym mędrcem, bo tylko udawał, że się śmieje.

I oto wszystko, co nam p. Makuszyński ze swoich dalekich przyniósł wycieczek. Doprawdy, nic nowego nie powiedział.

Sprawa polska.

Eugeniusz Starczewski w pracy pod powyższym tytułem, roztrząsając przyczyny upadku Rzeczypospolitej, widzi je przedewszystkiem w okolicznościach natury zewnętrznej, do których niemoc wewnętrza dołącza się jako czynnik pomocniczy i drugorzędny.

Polska była państwem najzupełniej od wszystkich ówczesnych w Europie odmiennem, przypominającem trochę Anglię, trochę Rzym republikański. W położeniu klas niższych, włościaństwa, nie było tu jednak różnic zasadniczych z resztą świata; ale usunąwszy chłopów na bok, spostrzeżemy, że w urządzeniach państwowych, opartych na idei wolności i równości wobec prawa, znacznie wyprzedziliśmy inne narody prócz Anglii. W wieku XVI, gdy wszędzie panował absolutyzm, gdy każda jednostka poddana była zupełnej niewoli, Polska, stojąc na wysokim stopniu kultury, oddychała szerokiem tchnieniem swobody indywidualnej i praworządności pod tarczą *neminem captivabimus nisi jure victum*, które każdemu obywatelowi państwa gwarantowało rzeczywistą wolność osobistą. Słabą stroną tej świetnej cywilizacyi polskiej w wieku XVI był jednak zbyt szybki jej rozwój. Tryumfy, powodzenie na wszystkich polach przyszły nam zbyt łatwo; a tylko walka hartuje ducha i utrwala jego zdobycze.

Rozrost terytoryalny, dokonawszy się szybko i bezkrwawo, uczynił wszystkich sąsiadów niestrasznymi dla Polski, więc konieczność silnej władzy centralnej mniej widoczną. Zresztą warunki współżycia połączonych ludów prowadziły do decentralizacyi. Dzieje państwa poszły w kierunku ewolucyi wewnętrznej i zdobywania coraz większych swobód obywatelskich. Przedewszystkiem pomyślano o ujęciu w karby ustawodawcze władzy królewskiej, która nie mogła znaleźć oparcia w miastach słabych i zamieszkanych głównie przez żywioły obce: niemców i żydów; następnie szybko załatwiono się z uroszczeniami możnowładztwa, a wreszcie szlachta powoli zaczęła się przeistaczać w społeczność demagogiczną ze wszystkiemi zaletami i wadami takiej społeczności. Każdy był tu sam dla siebie wprawdzie ultra-arystokratą, ale od innych wymagał ścisłego demokratyzmu.

Dążności decentralizacyjne, wynikające tak z pojęć o wolności, jak z tradycyi, doprowadziły do tego, że każde województwo, każda ziemia, każdy powiat miał swoje autonomie, sięgające do praw władzy zwierzchniczej. Ograniczono władzę królewską, osłabiono prawodawczą i wykonawczą, wszelkie względy państwowe usunięto na plan dalszy wobec tego jednego przemożnego — zachowania jednostce zdobytych swobód obywatelskich, opartych na zupełnej równości.

Taki ustrój państwowy czynił kraj zależnym od tężyzny moralnej jego ludności, a tymczasem nie przyczyniał się do jej rozwoju, cnót obywatelskich nie krzewił. Przeciwnie, warunki życia publicznego coraz bardziej deprawowały społeczeństwo. I tylko w rodzinie przechowywały się jeszcze tradycye hartu i cnót domowych; na niej Polska trzymała się przez ostatnie lata swego upadku.

Pierwszej zasadniczej przyczyny naszej ruiny państwowej dopatruje się Starczewski w okrajaniu naszej granicy na zachodzie przez ustąpienie ziem polskich, w przyłączeniu Litwy i Rusi i w dopuszczeniu do Polski nadmiernej ilości żydów. Z tych trzech momentów naszych dziejów wyniknęły jako skutki: anarchia państwowa, oraz upadek narodowych sił intelektualnych i moralnych.

Zajmiemy się przedewstkiem ostatniem z tego potrójnego nieszczęścia.

Żydzi od XII w., z początku pojedyńczo a następnie gromadnie, zaczęli przybywać do Polski z Niemiec, Hiszpanii, Bizancyum i krajów wschodnich, skąd ich usuwano. Dzisiejsi utrzy-

mują, że byt ich w tej nowej ojczyznie był nie do pozazdroszczenia; że mieli przeciwko sobie surowe prawa i różne ograniczenia cywilne i polityczne, które utrzymywały ich w nędzy i ciemnocie. Niech porównają położenie swoje w Polsce z położeniem ówczesnem żydów w innych krajach.

Nie ulega jednak wątpliwości, że to gromadne przesiedlenie się dla obu stron było zgubne. Żydom uniemożliwiło zlanie się z ludnością miejscową i przyjęcie jej cywilizacyi. Gdy zewsząd ich wypędzano, tu pozwolono im zostać organizmem obcym. Takiej autonomii, jak żydzi, nie posiadała żadna społeczność dawnej Polski.

Następstwem obecności w kraju tej nieasymilującej się rzeszy była niemożliwość utworzenia się trzeciego stanu polskiego i spaczenie charakteru narodowego, głównie szlachty.

Lud wiejski w Polsce, jak w całej podówczas Europie, nie odgrywał roli czynnej. Stan miejski rozwijał się w najniekorzystniejszych warunkach. Wskutek słabego zaludnienia, wojen i napadów tatarskich, w miastach osiedlali się niemcy, dla których spolszczenia potrzeba było dłuższego czasu. Żydzi wystąpili jako współzawodnicy chrześciańskiego stanu miejskiego i uzyskali opiekę szlachty, która w ten sposób osłabiała naturalnego sprzymierzeńca władzy królewskiej — miasta. Jako urodzeni handlarze stanowili oni we wszystkich krajach niebezpiecznego konkurenta dla handlu miejscowego. Wszędzie pozbawieni praw i wskutek tego schlebiający silnym, w Polsce płaszczyli się przed szlachtą, demoralizując ją moralnie i ekonomicznie.

Szlachcie i duchowieństwu przysługiwało prawo sprowadzania z zagranicy towarów bez cła dla własnego użytku i wywozu za granicę. Na komorze właściciel lub jego pełnomocnik składali przysięgę, że towar należy do szlachcica lub duchownego. Korzystali z tego żydzi i pod firmą szlachecką sprowadzali towary, a krzywoprzysiężców zawsze znajdywali. Te ich sposoby uniemożliwiały kupcom chrześciańskim współzawodnictwo z ich cenami.

Gdy w r. 1643 ustanowiono prawo, ażeby każdy kupiec składał przysięgę, że towar swój tak będzie sprzedawał, iż po strąceniu wszystkich kosztów otrzyma zysku: krajowiec 7%, cudzoziemiec 5%, a żyd 3%; ten ostatni i z tego na pozór surowego prawa uczynił dla siebie źródło nowej przewagi. Przysięga, składana przed urzędem wojewódzkim, oczywiście, nie obowiązywała go do niczego, a kupujący u żydów mieli zawsze przeświadczenie, że towar ich obciążony jest mniejszym zarobkiem, nie mówiąc już o takich środkach konkurencyjnych jak płaszczenie się przed kupującym, oszukiwanie na wadze i mierze, sprowadzanie wszelkiej tandety, czernienie współzawodników i puszczanie w obieg monety fałszywej.

Szlachta, stanowiąc prawa, zabraniające jej pod groźbą utraty szlachectwa zajmować się handlem lub sprawować urzędy miejskie, wespół z żydami, tworzyła t. zw. jurydyki, tj. części miasta niezależne od zarządów miejskich i wolne od takichże ciężarów i ograniczeń. Mieszkańcami jurydyk byli przeważnie żydzi, którzy, korzystając ze wszystkich praw miejskich, nie ponosili żadnych ciężarów, tylko płacili czynsz szlachcicowi - dziedzicowi.

W ten sposób stopniowo żydzi stawali się wyłącznymi panami miast polskich. Szkoci, anglicy, niemcy, którzy tu przybywali dawniej otwierać domy handlowe, znikali przed tym zalewem.

Oto przyczyna upadku miast i stanu trzeciego, a także w znacznym stopniu zdeprawowania charakteru szlachty.

Nie można Polsce robić zarzutu, że nie umiała żydów zasymilować. Przedewszystkiem było ich zawielu; a przytem w Europie nikt wówczas o asymilacyi nie myślał. Żydów usiłowano tylko nawracać na wiarę chrześciańską. Ich zaś religia i obyczaje nie dopuszczały nietylko do asymilacyi, lecz nawet do obcowania towarzyskiego. Oni w każdym kraju dążyli stale do uzyskania autonomii narodowej i religijnej, Polsce zaś robią dziś zarzut, że temu dążeniu zadość uczyniła.

Pogarda, jaką dla nich w całej Europie odczuwano, stopniowo przeniosła się na handel, wyłączne ich zajęcie, który zaczęto coraz bardziej traktować jako oszukaństwo, proceder pośledniego, upadlającego gatunku.

Ale walka z chrześciańską ludnością miejską zbliżyła ich do szlachty. W sprawach majątkowych oni byli doradcami, a często i kierownikami szlachciców. Ich wpływ pogłębiał ucisk chłopów przez dziedziców. Gdzie tylko się żyd zjawił, jako karczmarz, czy zaufany faktor, pogarszała się dola chłopa. Bo nikt tak jak on nie umie wyzyskać pracy i ułomności ludzkich dla powiększenia swych dochodów. Jak Mefistofeles obok Fausta, tak stanął żyd

obok szlachcica polskiego — mówi Starczewski — i dla własnych widoków rozdmuchał w nim próżność, lekkomyślność, marnotrawstwo, pogardę dla handlu i przemysłu a jednocześnie żądzę życia i użycia. On też go uczył jak wyciskać dochody ze swych posiadłości, z pracy poddanych, z ich skłonności do pijaństwa i hulaszczości. Sam pasorzyt, nauczył pasorzytnictwa szlachtę polską.

Jak dawniej tak i teraz potworna ilość żydów siłą fatalną ciąży na naszych miastach, a my przy tak strasznej przewadze żydowskiej musimy tworzyć nasz stan trzeci, będąc pozbawieni możności popierania emigracyi żydów lub asymilowania ich drogą oświaty publicznej.

Nacyonaliści żydowscy twierdzą, że żydzi, choć pozbawieni własnej ziemi ojczystej, nie przestali być narodem oddzielnym; że Polska nic dla nich nie uczyniła, więc niczego od nich wymagać nie może.

Główna ich masa zachowuje jak najskrajniejsze odrębności żydowskie. Choć nie mają jednolitego języka i są rozrzuceni po świecie, stanowią jednak bardzo zwartą grupę przez swą wiarę, swą rasę, swoją tradycyę, poczucie i solidarność narodową.

To widzimy na każdym kroku i o tem zapominać nam niewolno.

J. C.

Antoni Małecki.

(wspomnienie pozgonne).

Bogatą i różnorodną była działalność umysłowa tego uczonego, którego imię przez niejedno pokolenie znało każde dziecko polskie. Z jego „Gramatyki języka polskiego“ uczyliśmy się wszyscy do niedawna, jak poprawnie mówić i pisać popolsku.

Urodzony w Poznańskiem, wykształcony w tamtejszych szkołach i uniwersytecie berlińskim, całe życie jednak, z krótkimi tylko przerwami, przebył we Lwowie, gdzie w r. 1856 objął posadę profesora języka i literatury polskiej w uniwersytecie. I pierwszy w tej wszechnicy, dotychczas niemieckiej, przemówił do słuchaczów w języku polskim. O wykładach jego z literatury mówi nieznany autor w G a z e c i e l w o w s k i e j: „Był to piękny wzór żywego słowa, płynącego wprost z myśli i trafiającego wprost do myśli słuchacza, wiążącego katedrę z uczniem silnem ogniwem zajęcia. Małecki zawsze mówił, nigdy nie czytał swych prelekcyj. Mówił swobodnie, spokojnie, bez emfazy pretensyonalnej. Komuś, kto go słuchał po raz pierwszy, mógł się wydać nadto trzeźwym, zanadto prostym, prawie zimnym. Ale to pierwsze wrażenie szybko ustępowało głębokiemu zajęciu, któremu słuchacz ulegał bezwiednie i któremu myśl wydrzeć się nigdy nie mogła, dopóki nie umilkło słowo, co ją trzymało na uwięzi.“

Epokowemi poprostu stały się jego wykłady o Słowackim, którego jakby zamgloną i ogółowi polskiemu mało znaną postać wydobył na jaw, odkrył i tajemnicę jej bolesnego życia pokazał. W następstwie trzy tomy monografii: „J. Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do epoki współczesnej“, które się ukazały na półkach księgarskich (1866—7) wyrobiły Małeckiemu jedno z pierwszych miejsc śród krytyków polskich. Żadna z późniejszych prac o Słowackim nie posiada tego znaczenie, i wagi, co to dzieło.

W dalszej kolei badań przerzucił się on do historyi, której oddał się po objęciu urzędu kustosza (1872 r.) a następnie dyrektora zakładu Ossolińskich. Do ciekawszych studów w tej dziedzinie należą: „Lechici w świetle krytyki historycznej,“ i „Studya heraldyczne“, w których, odrzucając teoryę runiczną Piekosińskiego, twierdzi, że szlachta polska do wieku XIII właściwych herbów nie posiadała.

Ten dziewiędziesięcioletni starzec do ostatniej chwili był krzepkim fizycznie i umysłowo. W pełni władz rozstał się z życiem, które było przedziwnie harmonijnem i czystem.

NOWE KSIĄŻKI.

Jerzy Gąssowski, Z i a r n a s z a l e j u, str. 297, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Oprócz noweli tytułowej mieszczą się w tym zbiorze: Nieszczęście przez Karola. Przed mrozem. Wtorek. Spacer. Pierścionek. Opowieść o Stasiu i wogóle o ludziach. Szczerzy przyjaciele. Kasia ze wsi. Zakładacze parków. Zmrok. Ucieczka. Sen ziemi.

William Shakespeare: Tom IX: Koryolan, Juliusz Cezar, Antoniusz i Kleopatra. Tom X: Hamlet, Król Lir, Otello. Tom XI: Makbet, Romeo i Julia, Cymbelin. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej, wydawnictwa tom VIII, zawierający życiorysy i charakterystyki pisarzy, uzupełnione szczegółami bibliograficznymi oraz wypisami z najcharakterystyczniejszych utworów danego pisarza str. 499, Warszawa Gebethner i Wolff.

Eliza Orzeszkowa: Pisma, tom VI i VII: Eli Makower t. VIII: Meir Ezofowicz, t. IX: O żydach i kwestyi żydowskiej — Silny Samson. — Daj kwiatek. — Gedali. — Ogniwa. — O nacyonalizmie żydowskim. Tom X: Początek powieści. — Rozstajne drogi. — Syn stolarza. — Ostatnia miłość. Tom XI: Na prowincyi. Tom XII: W klatce. — Z życia realisty. Tom XIII i XIV Pan Graba, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Paweł Lenowicz: W Dolinie łez, powieść, str. 329, Warszawa, Księgarnia powszechna.

Judyta Gautier: Cień chińskiego smoka, powieść, przekład z francuskiego, tom I, wydawnictwo „Ciekawe powieści", Warszawa Gebethner i Wolff.

Józef Olszewski: Zastój gospodarczy Galicyi w czasie ostatniego przesilenia, str. 88, Lwów 1913, nakład Ligi pomocy przemysłowej.

Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1912 str. 374.

GŁOSY.

Pisma, stojące na skraju antisemityzmu i pragnące wrzucić wszystkich żydów do wspólnego grobu, coraz bardziej przechylają się ku osławionej taktyce Roli, która, jak wiadomo, polegała na tem, ażeby wszystkich ludzi wolnomyślnych przezywać żydami lub posądzać ich o tajemny z nimi związek, bezczelnie kłamać i zuchwale spotwarzać. Jest to najpewniejszy sposób zredukowania całego ruchu obronnego ludności polskiej przeciwko zalewowi judaistycznemu do bandytyzmu publicystycznego i paszkwilu. Sama odraza do takich środków walki może osłabić ten ruch ilościowo i jakościowo na pociechę tych, przeciw którym jest zwrócony. Główna zaś zasługa w tym skutku należyć się będzie organom wielokrotnie skompromitowanej Demokracyi Narodowej—Gazecie Warszawskiej i jej zwyrodniałemu „wyrostkowi robaczkowemu" Gazecie Porannej 2 grosze.

— Rozłam między socyalizmem polskim a niemieckim zdaje się przybierać coraz ostrzejsze formy. Wywołała go znowu uchwała zjazdu w Jenie, znosząca autonomiczną organizacyę socyalistów polskich. W następstwie tego wywiązała się ostra polemika pomiędzy Dziennikiem robotniczym, wychodzącym w Katowicach, na Górnym Śląsku a socyalistycznemi pismami niemieckiemi. Polskim „towarzyszom" zarzucano, że żyli dzięki materyalnemu poparciu socyalistów niemieckich. W ich obronie wystąpił poseł Daszyński, zamieszczając w Dzien. robot. artykuł, w którym, między innemi, mówi:

„Towarzysze niemieccy wspierali wprawdzie stale pieniędzmi polskich swych braci, dyktowali im jednak jednocześnie, co im mówić i pisać wolno. Socyaliści niemieccy denuncyowali stale socyalistów polskich, jako „patryotów", „narodowców". Odpowiedź polaków stanowić winno potrojenie cz,/sto polskiej organizacyi socyalistycznej w Niemczech. Uchwała zjazdu w Jenie oznacza lekceważenie autonomii narodów w federatywnym związku międzynarodowego socyalizmu Robotnik polski w Niemczech, który chce należeć do międzynarodowej partyi socyalno-demokratycznej, zobowiązany jest przyłączyć się do polskiej partyi socyalistycznej, a nie do niemieckiej partyi socyalistycznej w której pozostanie jedynie dodatkiem do wielkiej partyi. W polskiej partyi socyalistycznej natomiast będzie on pionierem wolności i myśli socyalistycznej wśród swych najbardziej uciemiężonych i najbliższych mu braci".

To wystąpienie polskiego przywódcy oburzyło oczywiście socyalistów niemieckich. Naczelny ich organ Vorwärts odpowiedział: że

„polscy socyaliści w Rzeszy niemieckiej, jako robotnicy i obywatele państwa, interesów swych proletarjackich bronić mogą wtedy skutecznie, gdy przyłączą się do niemieckiej socyalnej demokracyi. O ile zaś polscy socyaliści mają osobne narodowe interesy, które w ramach ogólnej organizacyi partyjnej nie znajdują należytego poparcia, pozostawia im się swobodę w celu ich dopięcia".

Na co odpalił mu Dzien. robot. „Rada ta mimowoli zdradza, że niemieckim socyalistom chodzi jedynie o ogłupienie polskich mas robotniczych".

Prasa żargonowa, nie ustając w produkcyi oszczerstw i kłamstw, ogłasza w Hacefirze:

„W roku ubiegłym zaczął się polski taniec piekielny, wobec którego pogromy w Rosyi były niczem. Wieśniacy podpalali domy żydowskie i nie pozwolili ich mieszkańcom wydostać się z ognia. Takie podpalenia zdarzyły się w kilku miejscach, a wszystkie urządzone były w jednakowy sposób, na wzór inkwizycyi. A podpalaczy nie wykryto.

I na drogach wystawali zwyczajni zbójcy i napadali na żydów przejeżdżających i mordowali ich. Takie napady były liczne wszędzie. A dla uzupełnienia obrazu przyszło także oszczerstwo o używaniu krwi przez żydów, oszczerstwo, którego nie było w Polsce podczas ostatnich dziesięcioleci, a teraz obudziło się w strasznej postaci w dziesiątkach miast i wsi... Inteligenci polscy ogrzewali się przy ogniu podpalenia. Nawoływanie „bijcie żydów" rozlegało się nie wyraźnie, ale pośrednio, i można je było czytać między wierszami... Uczniowie napadali i bili bez litości swych kolegów szkolnych, żydów".

Tak służy prawdzie organ „uciśnionych". To rozsiewanie typowo żydowskich łgarstw przestaje już robić wrażenie.

Śród ludu polskiego na Śląsku pruskim cicha germanizacyjna praca księży robi zastraszające postępy. I nie szkole przypisać należy ten wpływ wynaradawiający. „Szkoła to przymus — mówi nauczyciel Kaisig w Gliwicach, jeden z największych wrogów polskości — a tu o to chodzi, żeby ludzie dobrowolnie uczestniczyli w niemieckim rozwoju kulturalnym" — Okazało się, że książka jest tą przynętą, na którą lud polski najłatwiej wziąć można.

„Lud polski na Śląsku Górnym—mówi Kaisig—znajduje się na najniższym stopniu umysłowości. Rozporządza małym zasobem wyrazów pojęć a w jego życiu duchowem ma przewagę wyobraźnia. Potrzebę czytania należy w nim rozbudzić jaskrawemi i kolorowemi okładkami kiążek i obrazków. Najpierw podpisy tylko, potem krótkie opowiadania, bajki i powieści — i oto już nić zadziergnięta, już lud połknął wędkę i wkrótce nie zdoła obyć się bez książki niemieckiej. A wtedy dzieło germanizacyi prawie dok onane"

I opowiada dalej, jak jeden z jego czytelników, z pochodzenia polak, żył w otoczeniu nieprzychylnem niemcom. Pierwszą książkę musiał mu wcisnąć, a że to było dzieło religijne, z samych obrazków złożone, więc książką zajęła się cała rodzina. Za tą pierwszą poszły inne. Prosił zawsze: z obrazkami; lecz powoli w wypożyczonych książkach było coraz mniej obrazków. W czytaniu zwolna zaczęła przyjmować udział cała rodzina, jeden zwykle czytał cicho a potem wszystkim opowiadał i tłomaczył. Obecnie ten czytelnik — jak twierdzi Kaisig—jest już podobno niemcem z przekonania. Liczba czytelników w ludowych bibliotekach niemieckich na Sląsku wynosiła w kwietniu 1912 roku 133,951, z czego 86,129 należało do klasy robotniczej polskiej.

Dziennik polski we Lwowie kreśli taki obrazek, który jest jednym z widoków przyszłej Polski.

„Miałem załatwić pewną sprawę na wydziale filozoficznym tutejszego uniwersytetu.

Wchodzę do sal, w których słuchacze przygotowują karty wpisowe, i nie wierzę oczom moim: szwargot żargonu dominuje wszechwładny w murach Almae matris! Przystępuje do mnie młodzieniec i pyta w żargonie, która godzina? Wywiązuje się między nami następujący dyalog:

— Czy pan jesteś słuchaczem uniwersytetu?

— Jestem słuchaczem praw.

(Wszystko odpowiedzi były dane w żargonie).

— Gdzieś pan ukończył gimnazyum?

— We Lwowie V.

— Czy tam mieliście język wykładowy w żargonie?

— Nie, ale większość uczniów żydowskich mówi między sobą żargonem.

— Dla czego?

– Bo dla utworzenia narodowości żydowskiej musimy mówić żargonem. Staramy się również i na uniwersytecie lwowskim, aby wszyscy słuchacze i słuchaczki żydowskie między sobą używali żargonu i wpisywali: narodowość żydowska, a wtedy z całą pewnością wywalczymy uznanie na uniwersytecie lwowskim narodowości żydowskiej.

— Czy panowie mówicie żargonem z nienawiści do języka polskiego, którego przez 12 lat w szkołach uczyliście się?

— Uważamy język polski tylko za środek potrzebny do porozumienia się z inowiercami, musimy w nim zdawać egzamin i t. d., ale zresztą nic nas uczuciowo z językiem polskim nie łączy. Gdybyśmy mieli szkoły z językiem wykładowym hebrajskim lub żargonowym, wolelibyśmy je, niż szkoły polskie, dla których żadnej nie mamy sympatyi.

— Przecież to są absurdy, żadna władza nie pozwoli w Galicyi na otwarcie takich szkół, a zresztą zkąd weźmiecie taki uniwersytet.

— Panie, wszystko dałoby się zrobić, gdyby nie nasi najwięksi wrogowie asymilanci! Ci nam wszystko paraliżują!

— Czy pan wierzysz w wykonalność tego, co pan tu powiadasz?

— Wierze, jaknajusilniej, skoro pokolenie obecne podrośnie a tamci wymrą. Obecna młodzież szkolna jest tych samych przekonań, co i ja, a są jeszcze więksi zapaleńcy.

— A jak się panowie odnosicie do słuchaczy polaków?

— Całkiem obojętnie! Oni nas nic nie obchodzą, ani nas z nimi nic nie łączy!

— A jak się panowie odnosicie do słuchaczy rusinów?

— Bardzo sympatycznie i przyjaźnie!

-- Czem na to rusini sobie zasłużyli, wszak znana ich nienawiść do żydów?

— Bo rusini nie chcą naszej duszy, oni nie chcą, abyśmy byli rusinami, oni uznają nasze dążenia i życzenia, współczują z nami, chcą, abyśmy byli tylko żydami!

— Czy sądzisz pan, że na ruskim uniwersytecie rusini przyznaliby sjonistom narodowość żydowską?

— Zdaje się, że tak.

— Pan się mylisz

— Przyszłość okaże!

Rozmowa była skończona. Nagły krzyk zwrócił moją uwagę w inną stronę. Sjońscy akademicy podarli kartkę wpisową akademikowi żydowskiemu, który napisał: naro-

dowość polska. Agitacya sjonistów na uniwersytecie przy wpisach była wprost szalona, używali gwałtu, teroru i zmuszali, aby akademicy i słuchaczki wpisywali narodowość żydowską. Niema się co łudzić! Agitacya sjońska przybrała olbrzymie rozmiary. Fala sjonizmu wszystko zalewa, 15 lat sjonizmu w Galicyi, a całe żydowstwo przeistoczone"!

KRONIKA POWSZECHNA.

— Podług obliczeń p. J. Kamieńskiego Warszawa posiada 21 polskich szkół średnich; na prowincyi jest ich ogółem 45. Od 1911 r. powstało 8 nowych: w Grójcu gimnazyum 8-klasowe im. Skargi, w Pabjanicach 7-klasowa koedukacyjna szkoła handlowa, w Lublinie 7-klasowa szkoła handlowa Kunickiego, w Łodzi 4-klasowa szkoła przemysłowa K. Kujawskiego, w Częstochowie 3-klasowa szkoła handlowa Bagieńskiego, w Ostrowcu 4-klasowe progimnazyum S. Czaplińskiego, w Ostrołęce 4-klasowe progimnazyum, w Łukowie 4-klasowa szkoła handlowa.

W warszawskich polskich szkołach handlowych i technicznych świadectwo dojrzałości otrzymało w ubiegłym roku szkolnym 238 uczniów, w filologicznych 143, w realnych 83. Prowincyonalne szkoły w tymże czasie wypuściły 431 maturzystów, gdy w roku 1911/12 tylko 331.

W obliczeniach pominięto około 7 zakładów naukowych, które danych nie dostarczyły.

— Akademia krakowska rozpoczęła doniosłego znaczenia wydawnictwo encyklopedyi polskiej, która ma być wszechstronnem przedstawieniem kultury narodu polskiego i jego rozwoju historycznego aż do chwili obecnej. Całość ma obejmować 25 tomów, z których każdy będzie zawierał około 20 arkuszy treści w układzie systematycznym, podzielonym na części, każda poświęcona odrębnemu działowi kultury. Tom I, który już wyszedł, liczy 700 stronic, 36 kart i 25 ilustracyj. Daje geografię fizyczną polskich krajów i charakterystykę fizyczną ludności. Wydano też część tomu IV, która zajmuje się początkami kultury słowiańskiej w opracowaniu największej powagi w zakresie archeologii słowiańskiej prof. Lubora Niederle z Pragi, dalej Kadleca, drugiego uczonego prażanina i Aleksandra Brücknera.

— Walkę z pijaństwem prowadzą wszystkie kraje, lecz przodują w tym ruchu Norwegia, Szwecya i Finlandya; stale wzrastają zabiegi w tym kierunku w Królestwie Polskiem, Rosyi, Danii, Anglii i Belgii, najmniej we Francyi i Włoszech. Abstynenci stanowią 45% posłów, zasiadających w parlamencie szwedzkim. W szkołach tego kraju prowadzi się nauczanie o szkodliwych właściwościach alkoholu, do czego nauczyciele przygotowują się w specyalnym kursie sześciotygodniowym. W Holandyi przedmiot ten zaliczono również do kursów nauczycielskich. We Francyi za ministerstwa Poincarégo wprowadzono do szkół wykłady o alkoholizmie, lecz nauczyciele traktują je niedbale. W Prusach i w Niemczech nie uczyniono tego dotąd, jakkolwiek w r. 1902 zastanawiano się nad prowadzeniem wykładów równolegle z nauką religii. W Anglii, w r. 1904, na podanie, podpisane przez 15,000 lekarzy, ministeryum oświaty wprowadziło do programu szkolnego higienę i alkohologię, jako jeden z przedmiotów ważniejszych. W Stanach Zjednoczonych i w Australii uczyniono to samo.

— W związku z obecną dążnością inteligencyi żydowskiej do skierowania żydów na rolę Głos lubelski opowiada o nieudanych takichże próbach w gub. Wileńskiej przed laty kilkudziesięciu. Rząd zakupił w Lejpunach spory szmat ziemi i rozparcelował go między żydów, uwalniając tych osadników od powinności wojskowej na lat 7, a od wszelkich podatków na lat pięć. Z pośród mnóstwa kandydatów, znęconych tak korzystnymi warunkami, władza wybierała jednostki najlepsze, wyłączając bezwzględnie szynkarzy, lichwiarzy oraz handlarzy żywym towarem. Już w pierwszym jednak roku tylko mała cząstka oddawała się rolnictwu, większość, spieniężywszy, co się dało, wróciła do miasteczek. Ci zaś, którzy pozostali, wydzierżawili ziemię włościanom, a sami zajęli się: jedni handlem jajami, białem itp. drudzy sprzedawaniem i kupowaniem koni a większość szynkarstwem, znaleźli się nawet i tacy, którzy poświęcili się koniokradztwu i wywożeniu dziewcząt do domów rozpusty. Jakie korzyści przyniosła Lejpunom i okolicy obecność takich gospodarzy, wyobrazić sobie łatwo. Niedawno przystąpiono do zupełnej likwidacyi tych kolonij. Obecnie pozostały tu jeszcze dwie rodziny żydowskie, które—jak utrzymuje korespondent —trudnią się wszystkiem prócz... rolnictwa.

Podobnego rodzaju doświadczenie, tylko w dawniejszych jeszcze czasach, przeprowadzono w Kucharach, w pow. Płońskim — i z takimże rezultatem.

— W Matin paryskim zamieszczono wyniki wywiadu jednej z wyższych szkół amerykańskich, która oddawna dopuszcza do studyów kobiety na równi z mężczyznami. Kwestyonaryusz rozesłano do wszystkich wychowanek, które po koniec 1910 r. opuściły ten zakład naukowy. A było ich 5000 do 6000. Z 2,827 nadesłanych odpowiedzi dowiedziano się, że olbrzymi procent z tych kobiet nie wyszedł za mąż. Procent ten wzrasta z każdym rokiem. W pierwszem dziesięcioleciu od 1850—1859 r. na 100 dyplomowanych słuchaczek niezamężnych było 25, zamężnych lub wdów 75; w ostatniem — od 1900 do 1909 niezam. 76, zamęż. lub wdów 23. I nie brak posagu jest tego przyczyną, gdyż ten w Ameryce małą gra rolę. Liczba bezpłodności śród kobiet wysoko wykształconych jest również zastanawiająca: Na 100 zamężnych aż 39 nie miało dzieci, gdy normalnie wypada 10—12. Jakiż stąd wniosek wyciągnąć mamy: Oczywiście, kobiety dla własnego przedewszystkiem szczęścia, którego źródłem jest dla nich wyłącznie mąż i dzieci, powinny zaniechać wszelkich dążeń do rozwoju umysłowego. Im będą głupsze, tem więcej będą kochane i płodniejsze.

— Niektóre z naszych fabryk wymyślają dla swych robotników zdrowe, miłe i pożyteczne rozrywki. Jedna z nich dała im „zagonki" pod uprawę, wydzierżawiwszy kilka morgów gruntu, i za najlepiej prowadzone działki obiecując nagrody w kwocie 25, 10, 15 rb. Urządzenie tych działków kosztowało ją 800 rb., ale opłaciło się sowicie. Z 340 robotników tej fabryki, 60 zgłosiło się po działki. Zebrali oni po 6 mniej więcej korcy kartofli, po 4 kopy kapusty, brukwi, marchwi i innych warzyw. Mają więcej niż im potrzeba i mogą odstępować kolegom. Za przyznane nagrody kupili wspólnie narzędzia do pracy. Przykład ich tak podziałał, że wszyscy robotnicy tej fabryki oświadczyli obecnie chęć posiadania zagonków.

— Ciężkie położenie Galicyi, dotkniętej klęską głodową, wywołało odezwy, wzywające społeczeństwo polskie do ofiar, projekty pomocy i rzeczywiste ofiary. Hr. Feliks Sobański dał 30,000 rb., Wielkopolanie rozpoczęli u siebie zbieranie składek i wysyłanie produktów. U nas rzucono projekt zabrania na przezimowanie inwentarza gospodarskiego— trudny do urzeczywistnienia i z góry, zdaje się, przeznaczony do archiwów dobrej chęci. Na ogół biorąc, współczucie dla nieszczęsnej prowincyi jest wśród nas słabsze, niżby należało się spodziewać. My jeszcze mielibyśmy może na swoje usprawiedliwienie naszą własną niedolę tegoroczną, drożyznę i klęski nieurodzaju, przychodzące po szeregu ciężkich przesileń ekonomicznych, ale bogata Wielkopolska mogłaby się zdobyć na szczodrzejszą pomoc, niż okazana dotychczas. Jak źle się gospodarzy w autonomicznej Galicyi świadczą właśnie tego rodzaju nieszczęścia, zbyt często ten kraj nawiedzające; niedość się tam myśli i za mało robi dla zapobieżenia im. Ziemia bogata, ale na tych bogactwach ludzie mrą z głodu lub uciekają za ocean. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy do 200 tysięcy ludu wyemigrowało za granicę—jednostek najdzielniejszych, oczywiście.

— W Detroit, w Stahie Michigan, odbył się 20-sty sejm Związku narodowego polskiego, najliczniejszy z dotychczasowych. Z najodleglejszych zakątków Stanów Zjednoczonych zjechało nań 700 delegatów. Sprawy, które miały być przedmiotem jego obrad, na długo przedtem zajmowały uwagę ogółu polskiego, wywołując bardzo ostre starcia pomiędzy dziennikami. Największe zainteresowanie budziła sprawa nabycia gmachu w Cambridge Springs na Kolegium związkowe. Na sejmie ustalono, że Związek mógł nabyć tę posiadłość za znacznie mniejszą sumę, niż 175,000 dolarów; że dawny właściciel otrzymał za nią tylko 75,000

dol.; że gmach okazał się nie murowany, lecz zwykły drewniany, obłożony t. zw. dętą cegłą; że przeróbki, które zdaniem ówczesnej komisyi wynieść miały około 2,000 dolarów, pochłonęły już z górą 25,000 nie doprowadzając budynku do stanu pożądanego. Nie dowiedziano się jednak, gdzie się podziała suma 100,000 dol. z przeznaczonych na kupno, pomimo usilnych badań. Jasnem jest tylko, że nabyto na szkołę dom stary i lichy, którego utrzymanie pochłaniać będzie dużo pieniędzy. W innej sprawie: daru Pamma na szkołę związkową, który okazał się tylko upozorowaną łapówką partyi republikańskiej za popieranie przez prasę kandydatury Tafta, sejm, nie chcąc ażeby łamy pism związkowych sprzedawały swe zapatrywania polityczne za pieniądze—postanowił zwrócić natychmiast sumę 5000 dolarów ofiarodawcy.

— Robotnicy fabryczni i włościanie u nas zaczynają brać się do samodzielnej pracy przemysłowej, tworząc zrzeszenia. W górnictwie, w kopalniach kamienia wapiennego, piaskowca i piasku pracuje 291 włościan, zorganizowanych w spółki po kilkunastu lub kilku robotników przeważnie. Roboty prowadzą oni w sposób pierwotny, bez udogodnień techniki i organizacyi ekonomicznej. Tym sposobem jednak w ciągu jednego roku wydobyli 7602 sążnie sześcienne materyału.—W Wołominie istniała huta szklana, własność żyda, którą przed pięciu miesiącami zamknięto. Robotnicy, których pracowało tu 500, postanowili dzwignąć ją własnemi siłami. Pomogli im obywatele okoliczni a szczególnie zajął się tą sprawą inżynier Lisicki, pod którego kierunkiem zorganizowano spółkę firmowo-komandytową. Udziały robotników wynoszą po 100 rb. Przystąpiło też do spółki 50 obywateli, wnosząc od 100 do 500 rb. Także sama huta robotnicza istnieje w Wyszkowie, również pod kierunkiem inż. Lisickiego i rozwija się znakomicie.

Przemysł szklany w Królestwie wogóle nie jest należycie rozwinięty. Pierwsze miejsce zajmują w nim gub. Piotrkowska i warszawska, drugie siedlecka. Tu na 5 fabryk, zatrudniających 1020 robotników, przypada 1,100,000 rb. wartości produkcyi. Piotrkowska posiada przeważnie wielkie zakłady, z nich 8 wytwarza za 2 i pół miliona rękami 2140 robotników. W warszawskiej prawie tyleż produkuje 44 zakłady z mniejszą liczbą robotników.

— Jesteśmy świadkami szczególnego a bardzo charakterystycznego widoku: oto przedstawiciele rozmaitych instytucyj społecznych a nawet stowarzyszeń różnowiernych składają hołd nowemu arcybiskupowi, przemawiając do niego wyrazami poddaństwa i pokory. Przesuwają się kolejno deputacye od towarzystw kulturalnych, naukowych, kredytowych, nawet od gminy żydowskiej. Ponieważ ks. Kakowski nie zyskał przedtem żadną wyjątkową zasługą niezwykłej sympatyi w społeczeństwie naszem, gdyż pracował po za niem, więc te hołdy wytłomaczyć sobie możemy tylko nie czcią dla osoby, ale dla tkwiącego w niej symbolu. Rzeczywiście, objaw ten harmonizuje się z ogólnym nastrojem narodu, wybitnie reakcyjnym a wypływającym niewątpliwie z reakcyi w wewnętrznej polityce państwa, która pomimo wszystkich przeciwieństw nadaje kierunek opinii jego częściom.

— W ubiegłym miesiącu Warszawa otrzymała wspaniałą instytucyę leczniczą: Szpital dla dzieci imienia Karola i Maryi Szlenkierów. Dar to ich córki Zofii, która chcąc uczcić pamięć rodziców, kosztem pół miliona rubli wzniosła im ten cenny i trwały pomnik. Szpital składa się z dziesięciu pawilonów, rozmieszczonych na 35,000 łokci kw. przestrzeni. Są tu ambulatorya dla chorych przychodzących; „sortownie“, w których każde dziecko, przynoszone do szpitala, podlega przedwstępnemu badaniu, czy nie ma choroby zakaźnej, i zostaje odpowiednio umieszczone; rozbieralnia, gdzie je rozbierają, a jeśli potrzeba nawet myją i, owinięte w czyste prześcieradło, zanoszą do jednego z gabinetów lekarskich. Takich gabinetów jest cztery: dwa dla chorób wewnętrznych i nerwowych, jeden dla chorych na gardło, nos, uszy, oczy i jeden dla chirurgicznych. Dla tych ostatnich urządzono w gmachu sale: operacyjną, opatrunkową, sterylizacyjną i gabinet Roentgenowski. Po za tem zakład posiada laboratoryum centralne, zaopatrzone we wszystkie przyrządy, niezbędne dla badań chemicznych, mikroskopowych i bakteryologicznych oraz szereg małych laboratoryów oddziałowych. Obsługuje szpital cały sztab lekarzy, lekarek i wykwalifikowanych pielęgniarek świeckich. Pod względem gospodarczym wszystkie urządzenia odpowiadają najwyższym wymaganiom higieny i wygody. Podobnej instytucyi miasto nasze nie posiadało dotąd, a może i kraj cały.

DARY.

Na fermę praktyczną Bratne.
Ano. rb 200.
Zofia Germanowa rb. 12.

ADMINISTRACYA „Humanisty Polskiego“ mieści się przy drukarni K. Kowalewskiego, Piękna № 15, Telef. 18-88, otwarta od g. 5—6.
Wszelkie listy, przesyłki i gazety adresować należy do REDAKCYI, Wilcza 32. Telef. 115-35.

WARUNKI PRENUMERATY: 3 rb., z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu 3 rb. 30 k.
Numer pojedyńczy 30 kop.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.